

http://otokoclub.pl/temat_598,o-czym-nie-wolno-mowic-a-mialo-wplyw-na-wynik-wyborow-parlamentarnych-w-pazdzierniku-2019-r.html

O czym nie wolno mówić, a miało wpływ na wynik wyborów parlamentarnych w październiku 2019 r.

ARTYKUŁY

17.10.2019

Witold Modzelewski...

Jak zawsze nasze osobiste wybory polityczne dokonane podczas WYBORÓW kształtowane są przez wiele czytelnych i nieczytelnych bodźców, które powinni uczciwie zbadać analitycy, zwłaszcza na zlecenie najważniejszych wygranych i przegranych. I niech to robią bez poszanowania dla obowiązującej nas poprawności, nie kierując się również obawami przed gniewem „wielkich sponsorów” oraz „strategicznym partnerów”.

Bo trzeba pamiętać, że mówienie niewygodnej prawdy zawsze wymagało i wymagać będzie nie lada odwagi. Wciąż przecież – wbrew twierdzeniu opozycji – jesteśmy na wskroś liberalną demokracją, gdzie liczą się tylko ci, którzy mają „opłacalne poglądy” w każdym tego słowa znaczeniu. Niewiele (nikogo?) nie obchodzi nawet w pełni prawdziwe diagnozy, które mogą jednak zaszkodzić wielkim szamanom współczesności. Dać przykład? Już służę: prawie każdy przedsiębiorca wie lub domyśla się, że najlepsze interesy robi się dzięki „inwestycjom legislacyjnym”, a w czasie wykładów na temat przepisów podatkowych co i raz pada pytanie „dla kogo napisano ten przepis?” lub „kto to sobie załatwił?”. Często zresztą wiadomo kto to jest, bo Polska jest małym krajem, takim dużym „miasteczkiem powiatowym”, gdzie wszyscy wszystko wiedzą. Ale czy ktoś przeczyta o tym w „opiniotwórczych mediach”? Tam od lat udzielają wywiady wylansowani przez te media „eksperti”, którzy opowiadają nam np. o wyższości prawa wspólnotowego nad krajowym (albo coś w tym rodzaju).

O czym więc zgodnie z regułami poprawności nie powinno się mówić, mimo że był to zapewne istotny czynnik mający wpływ na wynik ostatnich wyborów?

Tak zwanym gołym okiem (są widać oczy odziane) widać, że główni zwycięzcy i główni przegrani mają dość kwaśne miny i raczej trudno im ukryć niezadowolenie, bo naród nie po raz pierwszy zawiódł zaufanie „kierownictwa” oraz „elit”, przy czym ów „zawód” nie został równo podzielony między obie strony głównego podziału politycznego. Sądzę, że większość z nas zgodzi się z tezą, że owe kwaśne miny wynikają stąd, że rządzący chcieli (i mogli) wygrać z dużo lepszym wynikiem, gdyż byli faworytami w tej rozgrywce, a główna koalicja opozycyjna mogła uzyskać dużo lepszy wynik wyborczy, stając się drugą, lecz tylko niewiele słabszą od zwycięzców grupą reprezentowaną w Sejmie. Oczywiście bredzenie o

skutecznych „sposobach na odsunięcie PIS-u od władzy” świadczyło o dość głębokim zagubieniu lub życiu w wymagowanym świecie: nawet schowanie w ostatniej chwili lidera opozycji zastąpioną miłą panią, która bez przekonania mówiła to samo co jej szef, nie mogło tu nic zmienić.

Sądzę z tzw. głębokim przekonaniem, że były aż trzy istotne wydarzenia, które miały z istoty wpływ na wynik naszych wyborów, a które to kompletnie nie pasują do obowiązującej wszystkie strony konfliktu poprawności. Dziś tylko o jednym z nich, czyli o problemie tzw. kredytów frankowych. Stosunek do tego problemu nie różnił rządzących od całości (chyba bez wyjątku) opozycji, a rządzącym zaszkodził w sposób bardziej dotkliwy, bo z „dobrą zmianą” wiązano nadzieję na ochronę interesów obywateli przed pazernymi bankami.

W powszechnym przekonaniu wszystkie dotychczasowe „ekipy” lewicowe i liberalne łączyła szczególna dbałość o interesy banków, a często tak naprawdę były one ekspozytorami ich zachcianek. Okazuje się, że po 2015 r. nic się tu nie zmieniło, a politycy powtarzali te same co lobby bankowe dyrdymały o jakiejś „destabilizacji systemu bankowego” w wyniku „odwalutowania” tych kredytów.

A trzeba przypomnieć, że owe lobby przed czterema laty twardo zwalczało zarówno Andrzeja Dudę w wyborach prezydenckich oraz Prawo i Sprawiedliwość w wyborach parlamentarnych. Ludzie powiązani z tym lobby nazywali wszystkie najważniejsze (obiektywne) programy prawicy mianem „księżycowych” (lub znacznie gorzej) i ostrzegali wyborców przed szkodliwym głosowaniem, które miało już w kolejnym roku doprowadzić, np. w wyniku realizacji programu 500+, do kompletnej „katastrofy gospodarczej naszego kraju”. Dlaczego więc po wygranych wyborach wybaczone dotychczasowym przeciwnikom i przejęto nie tylko ich język, ale również obronę ich interesów? Nie wiem, ale zakrawa to na wręcz dywersję, tym bardziej, że na kilka tygodni przed tegorocznymi wyborami prominentny funkcjonariusz związany z obozem rządzących opowiadał o „kryzysie ekonomicznym”, który miał spowodować wyrok TSUE w sprawie tychże kredytów.

Są różne wytłumaczenia tego fenomenu. Najważniejszą z nich jest intryga mająca na celu skompromitowanie nielubianej większości parlamentarnej, mimo przymilania się jej do niedawnych krytyków. Przecież nie tylko w Polsce wiadomo, że jawna przychylność instytucji finansowych dla każdego polityka, który chce zdobyć poparcie większości wyborców, jest przysłowiowym pocałunkiem śmierci: nikt nie lubi tego sektora, więcej, owa niechęć graniczy często z wrogością. Na zdystansowaniu się od ich interesów budowano wiarygodność w czasie kampanii wyborczej w 2015 r., zresztą nie tylko w oczach „frankowiczów”.

Nikt nie miał złudzeń co do liberałów i lewicy, ale wolta w stronę tych interesów ze strony narodowej prawicy była czymś szokującym.

A przecież w sporze z bankami idzie tylko o prawo i sprawiedliwość. Nie warto o tym zapominać odwołując się do tych pojęć.